

Rainer Maria Rilke: Elegia Ósma

Elegia ósma

Elegia ósma

Rudolfowi Kassnerowi

Stworzenie widzi świat nie jednym okiem,
ale wszystkimi. My widzimy go,
jakbyśmy odwracali wzrok do wewnątrz,
jakby źrenice były na postronkach.
Co jest więc tam, na zewnątrz, wiemy tylko
z reakcji zwierząt. Bo już jako dzieci
zmusza się nas do tego, aby widzieć –
tym odwróconym wzrokiem – tylko kształty,
a nie ów bezkres niepodległy śmierci
dany zwierzętom. Dla nas wszystko, zawsze,
podlega śmierci, gdy wolne zwierzęta
nawet nie wiedzą, co to jest. Są z Bogiem.
Biegają i biegają, w wieczności, jak źródła.

Nie dla nas czysta przestrzeń, choć na krótko,
choćby przez jeden dzień, w której by kwiaty
nie przekwitały. My zawsze w tym Tutaj,
a nigdy w tamtym Nigdzie-poza-Nie:
w czymś czystym, niestrzeżonym, co się wdycha
i co się w pełni zna, nie pragnąc tego.
W czymś takim czasem ztraca się dziecko,
nim się je wyrwie z tego; lub kto kona.
On sam już jest tym czymś. Bo kiedy śmierć
zagląda w oczy, już się jej nie widzi,
widzi się dalej – może właśnie tak,
jak widzi zwierzę? Tak też zakochani
mogliby widzieć, gdyby nie ten inny,
ten drugi wzrok, co im przesłania świat;
bo momentami jednak coś odsłania;
ale to jakby skutek nieuwagi...
Bo nikt nie zdoła przemóc go naprawdę.
I oto znów ten świat. A w nim jedynie
pozór tej wolnej przestrzeni – powidok
przyćmiony przez nas. Lub to nieme zwierzę,
co nas przenika na wskroś. – Oto los:
zawsze być wobec-czegoś, nigdy w-czymś.

Gdyby to zwierzę, które tutaj idzie,
miało świadomość zbliżoną do naszej,
z całą pewnością by nas przeciągnęło
na swoją stronę. Cała rzecz w tym jednak,
że ono nie ma pojęcia, kim jest,
ani jak bycie jego jest niewinne –

wolne i czyste, jak jego spojrzenie.
Bo my się ciągle mierzymy z przyszłością,
a ono całe jest we wszystkim naraz.

Lecz i to czujne i ciepłe stworzenie
ma punkt ciężkości – wielkie brzemię smutku.
Je również dręczy coś, co dręczy nas
i co czasami zwala z nóg – wspomnienie:
że przecież raz już było coś takiego,
do czego oto dąży się na nowo,
i było to silniejsze i wierniejsze,
i nieskończenie czulsze w swym spełnieniu;
że teraz jest podszyte nieufnością,
a kiedyś było czystym uniesieniem.
I że po pierwszej ta druga ojczyzna
jest jakoś podejrzana i niepewna.

O błogostanie tej małej istoty,
co wciąż tkwi w łonie, które ją wydało!
O szczęście muchy, która w dalszym ciągu
rusza się w środku, bo wszystko jest dla niej
zamkniętym łonem! I pomyśl o ptaku,
już nie tak pewnym siebie, bo świadomym –
no, ledwo, ledwo – tyleż swej natury:
że ma być duszą jakiegoś Etruska,
ale i tego, że ten już nie żyje
i właśnie przez to buja w tej przestrzeni,
choć i spoczywa figurą na grobie.
I jak jest płóche to wszystko, co lata,
a wyszło z łona. Jakby się lękało

własnego cienia. Tnie ostro powietrze
jak rysa filiżankę. Tak nietoperz
przecina lotem porcelanę zmierzchu.

A my? – Jesteśmy wiecznymi widzami.
Zawsze na zewnątrz. Chłonąc wszystko wokół.
Ach, ponad miarę! Tak że trzeba ciągle
składać to w sobie. Niestety, daremnie.
Aż w końcu sami się rozsypujemy.

I któż nas tak ustawił, że cokolwiek
byśmy czynili, to zawsze jesteśmy
już na odchodnym? Zawsze w owej chwili,
gdy ma się zejść już z ostatniego szczytu,
z którego widać wciąż całą dolinę,
ale się zwleka, aby jeszcze patrzeć.
Tak też żyjemy, wiecznie się żegnając.

Przełożył Antoni Libera



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego